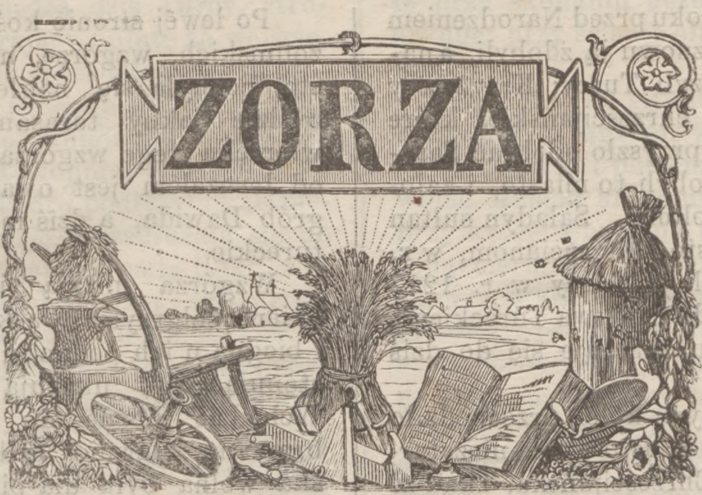
№ 23.

Rok 3.

CENA:

w Warszawie:
miesięcznie kop. 15 Złp: 1
w Królestwie i Cesarstwie

pod opaskami
gwartalnie kop. 62. (Złp. 4 2r. 4.) półrocznie rs. 1 kop. r4. (Złp. 8 gr. 8.) rocznie as. 2 kop. 48. (Złp. 16 gr. 16)
W kopertach półrocznie rsr 1 kop. 70. (Złp. 11 gr. 10) rocznie rs. 3 40. (Złp 22 g. 20).



WARSZAW

25 Maja (6 Czerwca)

1868 r.

Prenumerować można
Zorzę:
w Warszawie w Redakcji Nr. 24 (nowy) ulica Nowy-świat. — na prowincji w królestwie: po Stacjach pocztowych. W Cesarstwie po Stacjach pocztowych lub za zgłoszeniem się listownem do Redakcji w Warszawie. (Nr. 24 ulica Nowy-Swiat) końcową należność można nadsyłać markami pocztowemi.

PISMO NIEDZIELNE

DLA LUDU MIEJSKIEGO I WIEJSKIEGO.

„Czyń każdy w swojem kółku, co każe duch Boży,—A całość sama się złoży.“—*Kazimierz Brodziński.*

Opisy Ziemi Swiętéj (*)

III.

przez J. S. Jasińskiego

JERUZALEM.

Jeruzalem, miasto starożytne Palestyny, stolicę pokolenia i Królestwa Judy, leżącą w równéj niemal odległości od morza Srodziemnego i jeziora Asfaltydy, ku źródłom potoku Cedron, opasywał niegdyś potrójny mur z 13tu bramami. Miasto zbudowane było na wzgórzach piętrzących się jedne nad drugiemi, z których główne były Sjon i Akra; na południe były doliny Hinon i część miasta zwana Masfa, na wschód dolina Józefata i góra Moriah. Część miasta leżącą na Sjonie zwano wysokiem miastem czyli miastem Dawida, bo tam był pałac tego króla, późniéj Heroda, czyli cytadella Antonia. Na górze zaś Moriah wznosił się przepyszny kościoł Salomona. Ludność mieszkańców Jerozolimy dochodziła niegdyś do 150,000. Dziś lubo miasto nie ma dawnéj swojéj wielkości, jest jednak stolicą Sandżaku Syrji (czyli prowincji Damaszku) i miejscem pobytu patrjarchy Armeńskiego, licząc zaledwie 15,000 mieszkańców. Kościół Swiętego Grobu jest najpiękniejszym jego pomnikiem. Król żydowski Dawid podniósł Jeruzalem do godności stolicy swojego Królestwa w miejsce dawnego miasta Sichem, a syn jego Salomon zbudował w niem ową słynną świątynię noszącą jego nazwisko. Pod Ezechjaszem Jerozolima utrzymywała oblężenie Sennacheriba, uniknąwszy cudownie niebezpieczcństwa. Nabuchodonozor władca Syro-Chaldejski brał ją trzy razy, i nakoniec zniszczył; sławny i wspaniałomyślny Cyrus król Perski pozwolił na jéj odbudowanie. Pod następcami Alexandra Igo króla Macedońskiego zakwitła na nowo, ale następcy jego Seleucydowie prześladowcy innych religji, napełniając ją uciskami i krwią, wywołali powstanie bohaterskich żydów Machabeuszów, uwieńczone powodzeniem. Następnie Pompejusz współwładca Rzymski zdobył Jerozolimę, a gdy Żydzi powstali, cesarz rzymski Tytus złupił ją i zburzył. Juliusz Severus pod cesarzem Adrjanem, rozszerzył ją, i nazwał *Aelia* (czytaj Elia) *Kapitolina*, zabroniwszy do niéj wstępu żydom. Konstantyn piorwszy chrześciański państwa Rzymskiego, przywrócił jej dawne

(*) Podług dzieł: Lamartina, Hołowińskiego i innych.

nazwisko około 300 roku przed Narodzeniem Chrystusa; Persowie znowu ją zdobyli, a następnie i Saraceni czyli Turcy; Krzyżowcy zaś, to jest wojsko chrześcijańskie, które grób i Krzyż święty przyszło odebrać Saracenom, w r. 1099 zdobyli to miasto, i założyli Królestwo Jerozolimy. Saladyn sułtan Egiptu odebrał miasto Chrześcianom, w r. 1187; nakoniec wzięli je Turcy w r. 1217 i 1239 i przyłączyli do państwa Tureckiego, w którego posiadaniu znajduje się do dziś dnia.

Otóż tyle krwawych kolei przechodziło to sławne 3000 letnie miasto—owa niezatarta niczém pamiątka Chrześcijańska, zkąd ze źródła ofiary krzyżowéj zbawienie na cały świat spłynęło! Przypatrzmyż się bliżéj tyle nas obchodzącemu miastu. Podróżny opuściwszy pustynię i klasztor Św Jana Chrzciciela, należące do klasztoru Łacińskiego ziemi Świętéj w Jerozolimie, wyjdzie drogą wiodącą przez górę posianą szaremi skałami; z prawéj strony ciągnie się owa puszcza Św Jana, gdzie ten Święty przygotowywał swych ziomków do przyjścia Zbawiciela,— po lewéj sterczą zwaliska wież, czy starożytnej warowni, i na szczycie tejże podobneż piętrzą się ruiny. W rozwalinach tych zamku i grobu Machabeuszów są trzy drzewa terpentynowe rosnące samotnie. Wdarłszy się na drugą górę, bardziej nagą niż pierwsza, wędrowiec obejmuje okiem przestworze, w którem na tle błękitném nieba ukazuje się ciemno-żółta i bez połysku Jerozolima; tło czarnéj góry Oliwnéj stanowi jakby drugi podkład tego obrazu w oddali; coraz bliżéj podchodząc, widzi wyraźniéj miasto wielkie rozłożone na szczytach wzgórz otoczone murem, i skałami. Z białéj góry wapiennéj, zwanéj górą pokłonu, (bo tu upada się na twarz ujrzawszy grób Zbawiciela) najpiękniéj ukazuje się to Święte miasto. Mury jego, wierzyce, strzały licznych minaretów czyli świątyń tureckich, na płaszczyznie wysokiéj i rozległéj, zdają się jaśnieć całym starożytnym blaskiem swoich proroctw, albo czekać tylko słowa, aby wyjść w całéj świetności ze swoich siedemnastu z kolei zburzeń, i stać się tą *Jerozolimą nową*, która wychodzi *z łona pustyni, jaśniejąca światłością!*

Po lewéj stronie kościoła i murów Jerozolimskich, wzgórze, na którem stoi miasto, pochyla się nagle, podpierane tu i owdzie jakby tarasami z kamieni. Na wierzchu tego wzgórza o kilkaset kroków od Jeruzalem jest owa góra Sjon, pałac, grób Dawida, a dziś meczet i zabudowania tureckie.

Wzgórza zniżają się i wznoszą przed okiem pielgrzyma; wąskie doliny niby krążą i biegną u ich podnoża; w końcu skały rozstępując się, ukazują mury Jerozolimy. Wchodzić można do miasta wszystkiemi bramami; dawniéj tylko brama Damsceńska wolną była dla pielgrzymów. Brama ta, jest pięknym pomnikiem w stylu arabskim, z dwiema wieżami po bokach, otwarta w łuk ostry szeroki.

Na ulicach miasta nieczystych, zawalonych gruzami, nie widać prawie śladu bogactwa, ruchu i życia.

Przebywszy ich kilka, wchodzi się na mały plac otwarty od północy, z niego kilka schodów z lewéj strony prowadzi przed kościół Św Grobu.

Ta świątynia początkowo zbudowaną była przez Śta Helenę, matkę Konstantyna Cesarza, ale Kozroes Król Perski i Hakem sułtan Egiptu burzyli ją kilkakrotnie, aż nareszcie pożar w r. 1808 zniszczył ją niemal zupełnie. Grecy przy pomocy Rossji odbudowali kościół ten według dawnego planu tak, jak dziś widzimy ten święty przybytek. Lubo zewnątrz zasłonięty klasztorami i rozlicznemi budowlami, przecież zawsze poznać w nim można rozległy i piękny pomnik sztuki bizantyńskiej (*). Budowa poważna, uroczysta, okazała i bogata. Jest to chorągiew godna téj pobożności, która ją rozwinęła nad grobem Boga—człowieka.

Pod uczuciem głębokiego wrażenia wchodzi się w przysionek sklepiony i posępny nawy kościoła. We wspaniałym jego frontonie, pilastr, to jest, słup graniasty złożony z pięciu kolumn, porządku Koryntskiego, stanowi przedział dwojga drzwi, z których lewe tylko otwarte. Przy wejściu do przysionka, w zagłębieniu obszernéj framugi, w któréj nie-

(*) Bizancjum, czyli Konstantynopol, a po Słowiańsku Carogród, dziś stolica Turcji, była niegdyś stolicą Cesarstwa Greckiego.

gdyś stały posągi, siedzą dziś Turcy, stróże Śgo Grobu, pobierający opłatę za wejście.

Wnętrze kościoła przedstawia czworo bok, zamknięty od zachodu półkolem większem, od wschodu mniejszem. Koroną tego przybytku jest kopuła, spoczywająca na 18 kolumnach, które podtrzymując biegnącą w około galerję, przedłużają się do wyższéj galerji. Światło wpada tylko z otworu będącego zamknięciem sklepienia. Przecięcie téj kopuły ma 26 łokci, kościół przez całą długość 130, szerokości 45 łokci. W samym środku tej kopuły czyli pod otworem okratowanym tylko, znajduje się, jak kosztowny klejnot oprawny w większy, mała kaplica Grobu Chrystusa. Grota wewnątrz wyłożoną była kiedyś marmurem. Miejsce będące naprzeciwko aż do kaplicy Greków, należy do katolików. Przy samem wejściu jest dwanaście stopni, na których stoi dwanaście lichtarzy; po nad drzwiami obraz Zmartwychwstania Pańskiego, a nad tym obrazem dla zasłony schodów przed deszczem rospięte jest płótno. W małéj kapliczce Anioła znajduje się odłam owego kamienia, na którym anioł siedział przy grobie Zbawiciela. Z téj kaplicy jest wejście do Najświętszéj groty, zaledwie trzy łokcie mającéj, gdzie to Chrystus po zdjęciu z krzyża został złożonym. Po prawej stronie od wejścia na północ znajduje się ława kamienna, pokryta białym marmurem pękniętym,—jest to łoże zbawiciela; kilkadziesiąt lamp oświeca to miejsce, w którem odprawiają się msze nad kamieniem grobowym.

Na wschód o kilkanaście kroków jest Golgota, miejsce gdzie przed Chrystusem tracono winowajców; ale kiedy Chrystus poniósł śmierć męczeńską za grzechy świata, miejsce to stało się ołtarzem odkupienia. Po obu stronach Kalwarji, po 18 stopniach wykutych w skale wchodzi się na szczyt jéj, na ową Golgotę. Arkada podtrzymująca sklepienie, dzieli tę górną część na dwie połowy, w środku miejsce krzyżowania, z prawéj jest Kaplica Ukrzyżowania, a z lewéj miéjsce gdzie stał Krzyż Święty; po dwu stronach oznaczone są miejsca, gdzie stały krzyże łotrów. Między krzyżem Zbawiciela a krzyżem łotra z lewej, widać pękniętą skałę przy skonaniu Jezusa Chrystusa. Pod arkadą, przy ścianie ołtarz Matki Najświętszéj.

Idąc dalej ku stronie wschodniéj korytarzem pół okrągłym, wchodzi się do kaplicy Koronacji i pośmiewiska; pod ołtarzem widać ułamek kolumny z szarego marmuru, przy któréj Chrystus ukoronowany był koroną cierniową i powitany Królem Żydowskim. O kilka kroków ku wschodowi wielkie drzwi prowadzą do kościoła Śéj Heleny, czyli do obszernéj kaplicy z kopułą opartą na czterech kolumnach marmurowych. Dwa tam są ołtarze: jeden Séj Heleny, a po lewéj dobrego łotra. Kaplica ta należy do Ormijan. Z téj kaplicy po 13 stopniach zstępuje się do ciemnego dołu, miejsca, gdzie Sta Helena znalazła krzyż, i tu jest ołtarz Greków i Katolików.

Wracając do Wielkiego Kościoła, przychodzi się do miejsca rozdzielenia szat, a nieco daléj do kaplicy Longina setnika, który przebił włócznią bok Chrystusa, i tu opłakiwał zbrodnię swoją.

Daléj widać grotę więzienną, gdzie miał być uwięzionym Zbawiciel. — Wyszedłszy z téj groty w zachodnią część kościoła, wchodzi się do kaplicy Séj Magdaleny. Piękny obraz téj Świętéj i rzeźbione bronzowo antypedium czyli spód ołtarza, przedstawiając mękę Chrystusa, ozdabiają tę kaplicę przytykającą do kaplicy Najświętszéj Panny. Po prawéj stronie są trzy ołtarze; w środkowym piękny obraz Zjawienia się Zbawiciela Matce, z prawej biczowanie Chrystusa,—po nad mensą ołtarza ułamek kolumny, przy któréj był biczowany. Kaplica ta należy do Katolików i stanowi główną modlitewnię.

WIĘZIENIE SZKOŁĄ

POWIASTKA

(z prawdziwego zdarzenia).

Niedawny a prawdziwy wypadek, jaki czytelnikom Zorzy opowiedzieć zamyślam, niechaj im za przestrogę posłuży, jak z dziećmi obchodzić się należy.

Różne są położenia dzieci na świecie. Są takie, co swobodnie i szcześllwie pod okiem ojca i matki pędzą dziecinne dni swoje i pod ich pieczą przyuczają się do cnoty i pracy, — są znowu sieroty puszczone w świat bez opieki i serca, bez oka czujnego, od niemowlęctwa wystawione na pokusy do zbrodni i grzechu, — ale najboleśniejszem jest to, że są znowu dzieci, które za życia rodziców swoich prawdziwemi są na świecie sierotami. Do takich też zaliczam Maciusia i Basię, o których smutnéj doli rozpowiadać tu będę. Ojciec tych dwojga dzieci Kazimierz Bruzda miał się nieźle. Kilka mórg gruntu, własna hata, para bydełka, i konik, trochę trzody i drobiu, świadczyły, że u niego jeszcze chleba dla dzieci zbraknąć by nie powinno lecz i na utrzymanie i na szkołę dla nich wystarczyć mogło. Ale jak to na wsi, gdzie jest kilkoro dzieci, to chodzi tylko o to, aby je gdziekolwiek tylko wypędzić, jak to mówią z domu do ludzi, — i tak się rzecz miała i z rodzicami Maciusia i Basi. Mieli oni ośmioro potomstwa a wszystko drobne, najstarszy był Maciuś, więc daléj go zaraz na służbę do bogatego sąsiada, gdzie jako pastucha za życie i okrycie samopas dni swojej młodości przepędzał. Ale i Basia wnet ciężarem się stała dla rodziców swoich: dochodziła ona lat dziewięciu, więc ją wygnać należało na służbę, by bez czujności ojca i matki, co chciała, to robiła. O! gdyby tacy rodzice przynajmniéj dobierali godnych i uczciwych dla swych dzieci gospodarzy i panów, coby im ich samych zastąpili, — ale niestety! jakże mało na to zwracają uwagi! — dość że im już dziecko w domu nie zawadza, że już na siebie zapracuje!.. Ależ patrzcie ojcowie i matki na los biednych Maciusia i Basi, i przerażcie się okropnością ich położenia.

Sąsiadka Bruzdów Cebulina potrzebowała małéj dziewczyny za piastunkę i do wszystkiego, tam więc Basię oddają nawet za bardzo liche zasługi. Cebulina była to kobieta zła, marudna, kłótliwa i bardzo dla wszystkich przykra, — służącéj długo utrzymać nie mogła, każda jéj prawie uciekła. Przekleństwo od świtu do nocy nie schodziło jéj z ust, i nie było człowieka we wsi, którыby na nią narzekać nie miał powodu, — gorzałeczkę przytem niezmiernie kochała, a gdy sobie podochociła, to już uciekaj z drogi kto możesz, bo w szaleństwie swojem pijana Cebulina nie znała żadnych granic. Do takiéj to gospodyni oddali na służbę Bruzdowie swoją dziewięcioletnią Basię. Dziewczę jak mogło, tak się starało przypodobać Cybulinie i spełniało jéj wszystkie rozkazy; wszakże dogodzić jéj jak każda inna, nie mogła. Nie mówić już o nadzorze jakimkolwiek, takowego nie tylko nie miała biedna sierota, ale nadto spoglądała na zły przykład, zgorszenia i zepsucie. Gdy uklękła do paciorka, by się rano lub wieczorem Panu Bogu i Jego świętéj polecić Opatrzności, to ją Cebulina świętoszką przezywała i łajała za to, że czas marnotrawi zamiast się wziąć do roboty, — gdy dziewczę zbrudzone umyć się chciało lub też przybrać w porządną i całą spódniczkę albo w czystą koszulkę, to ją znowu szlachcianką wyśmiewała i zawsze podejrzéwała o niewierność i złodziejstwa. O kościele ani wspominaj, tam nie dla Baśki miejsce, jéj kościół przy zacierku, przy kominie, przy żłobie albo kołysce, — natomiast co wieczór prawie widziała ona swoją gosposię idącą nie do kościoła, broń Boże, ale do karczmy i wracającą późno z głową zalaną trunkiem, złą jak szatan, bluzgającą na wszystkie strony najbrzydsze słowa i przekleństwa. Uchowaj Boże! by jéj Basia zapory natychmiast nie odsunęła, jak tylko przy drzwiach stanęła, niech jéj nie podała to, o co zawołała, niech co jéj nawinie się nie pomyśli na drodze, biedna służąca plagi, razy i klątwy nad siły prawie znosić musiała. Oto szkoła dla biednéj Basi!.. Żałowali jéj Bruzdowie latek i trochy chleba, aby się czegoś nauczyła tam, gdzie się nauczyć czegoś dobrego można, a oddali ją do szkoły, gdzie się nauczy być chyba samym szatanem, — to téż późniéj gorzko płakać musieli na ten swój wielki nierozsądek i sami byli przyczyną, że więzienie stało się dla ich dzieci szkołą!... Biednéj dziewczynce na całą pociechę pozostał tylko brat Maciuś, przed którym téż często użalała się na swoją dolę.

— Maciusiu, oj mój Maciusiu, mawiała nieraz do niego, już ja dłużéj nie wytrzymam z tą moją gospodynią, chyba gdzie za góry, za lasy ucieknę i schowam się, żeby

mnie oko ludzkie więcéj nie ujrzało.

— Oj nie bredź że Basieńku, idź ty do tatula, matuli, powiedz im o swojéj biedzie, to cię odbiorą i zostaniesz przy nich, gdzie ci będzie jak dawniéj.

— Byłam już Maciusiu, ale oni powiedzieli, że mi się tylko służyć nie chce, a matula wzięła za rękę i napowrót do Cebuliny odprowadziła,—oj! bo oni Maciusiu nie wierzą, jak mi tu źle i ile się codziennie napłakać muszę.

— To pójdźmy Basiu oboje i będziemy prosić oboje i oboje, będziemy płakali i uściskamy za nogi tatula i matulę, to się ulitują i ze służby cię złéj odbiorą.

I poszli.—Na progu zaraz dostrzegli zmarszczoną, chmurną i zakłopotaną twarz ojca, a matka srogo ich powitała.

— Co tu bębny robicie? pewno na nowe użalenie? próżnować się wam chce? jak się nie ma na was gniewać gospodyni, gdy wy tylko szlochać uciekać i boczyć się chcecie! zaraz mi napowrót do służby!

— Matulu! ja już się więcéj do Cebuliny nie wrócę, zabijcie mnie, zatłuczcie, wolę iść gdzie w świat daleko aniżeli do niéj.

— Matulu! dorzucił Maciuś, przyjmijcie napowót Basię do swéj haty, bo jéj tam źle, oj bardzo źle.

I zaczęli rzewnie oboje płakać. Matka wszakże zamiast politowania wzięła jedno i drugie za ręce i za drzwi wyrzuciła, krzycząc co siły.

— Do służby, do roboty bębny! a zwracając się do chmurnego małżonka, dalej rozwodźi dąsy:

— Ty stary jesteś winien wszystkiemu; jakbyś nie miał pięści i kija, ja tylko opędzać się muszę, a ty stoisz, i stoisz, a możebyś jeszcze z niemi i zabeczał.

—Cichobyś była—rzekł, toć dzieci są zawsze dziećmi, a może też i słusznie się żalą na swoją biedę—i do kogoż pójdą jak nie do ojca, do matki, a ty się nie przekonasz, tylko tak jak z obcemi się obchodzisz, żeby dla nich i najgorsza macocha lepszą była.

I często podobna odbywała się historya, też same zażalenia próżne i bezkorzystne, ta sama chmurna postać ojca, rozdąsanie niegodnéj Bruzdziny, to samo sieroctwo dla dzieci! Nareszcie miarka cierpliwości przebrała się w sercu biednéj Basi: postanowiła w swojéj małéj i jeszcze głupiej główce cóś nareszcie stanowczego uczynić, by się pozbyć nieznośnéj służby u Cebuliny i raz jeszcze po radę śpieszy do Maciusia.

— Już niech się dzieje co chce Maciusiu, muszę już raz skończyć z moją biedą i przyszłam się tobą z pożegnać...

— Cóż zrobisz Basiu, przecież się nie utopisz ani powiesisz?

— A kto wie Maciusiu, mnie się już zdaje, żeby to lepiéj było nie żyć na świecie, jak takiej biedy i poniewierki doznawać...

— Ale matuli i tatulowi byłoby żal, żeś ich opuściła ze świata i w płaczu na starość zostawiła.

—A im, mój Maciusiu, nie żal, że ja codzień się napłakać muszę, żebym się już i w moich łzach skąpać mogła?.. O! mój Boże! jak to inne dzieci u biedniejszych niż nasz tatulo i matula rodziców, ładnie się noszą, codzień z książeczką i tablicą do szkoły chodzą, potem co niedziela z nimi do kościoła,—a my ani szkoły, ani kościoła, ani to przyodziewku, ani nawet co w usta poczciwie włożyć! a za to piekła, obrazy Boskiéj i wszystkiego złego i nasłuchasz się i napatrzysz do tyla...

— Prawda moja Basiu! to i ja wolałbym ojcowe wołki poganiać i matusi paść bydełko—ale cóż, kiedyć im się zdało, że lepiéj służyć, to i służę, choć mi téż nie lepiej, jak tobie...

— Ja to już Maciusiu nie wytrzymam i dziś w nocy ucieknę daleko, do innéj wsi, do innych ludzi, do innego kraju, aby tylko daleko, żeby mnie matula nie znaleźli i Cebulina już ztamtąd nie wydostała.

— Ale tatuś choć przystał na oddanie cię do służby, to jednak mu żal ciebie i ledwie nie zapłacze nad twoją dolą, to choć tatula nie martw,—a przecież i mnie Maciusia nie odchodź, bo i jabym okrutnie po tobie płakał, a niktby mnie utulić nie mógł.

— A więc doradź Maciusiu, co robić?

— Mnie już nie raz się marzy Basieńku, i różnie sobie nad tem przemyśliwam, żeby to nie było téj haty Cebuliny... i téj izby, w któréj ci tak źle się dzieje.. a żebyś ty jejednak została w naszéj wsi i żebyśmy się nie rozłączali..

—Ha! wiem, wiem, co zrobię, toć i bę-

dzie jak mówisz,—z wieczora zapalę chałupę, a matula muszą mnie przyjąć na powrót do domu...

— Tak będzie najlepiéj! rzekł ucieszony Maciuś, nie przypuszczając okropności zbrodni, któréj się jego siostra dopuścić miała i nie obliczając następstw, które z tej zbrodni wyniknąć mogły.

Jak uradzili, tak i zrobili. Błysnęła nad całą wsią straszliwa łuna i przepełniła trwogą i popłochem wszystkich, téj wsi mieszkańców; hata i zabudowania Cebuliny wparę godzin zgorzały i nic prawie z nich nie uratowano. Nazajutrz smutny obraz przedstawił się oczom wszystkich—zgliszcza, dymiący popiół na miejscu dość pięknych budynków! Zrospaczona Cebulina z trojgiem swych dzieci od przytomności odchodząc, z rozczochranemi włosami, załamanemi rękoma, obchodzi pogorzelisko do około, dziko spoglądając na wszystkie strony i nie wiedząc co począć,—aż dobrzy ludzie, co nie raz gorzko na nią wyrzekać musieli, ulitowawszy się i przebaczywszy po chrześcijańsku przeszłość, zajęli się jéj położeniem, dzieci wzięli jedni, ją samą drudzy, potem dopomogli zwolna się odbudować, dopomogli w zasiewach, w orce, w sprzęcie, że nareszcie postawili ją jak to mówią, na nogi. Poczciwa to była zemsta sąsiedzka!

A Basia, a Maciuś? zapyta każdy czytelnik.

Jak tylko zaświecił pożar okropną łuną, niewypowiedziany przestrach zapełnił serce biednéj dziewczyny, nigdy jeszcze nie widziała tak przerażającego widoku. Przelękniona bieży co prędzéj na naradę do Maciusia, ale go znaleźć nigdzie nie może, bierzy więc daléj przed siebie, bez celu, bez końca, razy się kilka obejrzy ale coraz jaśniejsza i rozciąglejsza łuna mnoży i zwiększa przestrach w jéj duszy. Już i wioskę swoją minęła, i całe pole przebiegła,—nie pyta, bruzda czy zagon, czy droga, tylko leci daléj—ciemno! ale jéj jedno, jéj by i przy blasku słonecznem widniéj nie było. Przebiega łąki, jakieś bagna, już staje na suchem miejscu, już w błocie po kolana, ale i otém prawie nie wie... Cała potem oblana bieży daléj przez krzaki, pieńki, w las, aż ją siły do reszty opuszczają. Raz się jeszcze obejrzy i raz jeszcze ujrzawszy już zdala tylko świecącą łunę, pada bez duszy prawie, w głębi lasu.

Maciusia położenie nie lepsze. On, strwożony łuną pożaru chce się ukryć przed ludźmi i okropnym ognia żywiołem,—włazi pod żłób w oborze, wkręca się między słomę daleko, głęboko, i tam na wpół żywy wyczekuje jakowegoś końca. Siedziba gospodarza Maciusia była w sąsiedztwie blizkiem domu Cebuliny,—płomienie gnane podmuchem płynącego w tę stronę wiatru, tam także dosięgły, i obora, gdzie ukrył się Maciuś, stała się ich pastwą. Słyszał biedny chłopczyna krzyk ratujących ludzi, szum płonącego dachu, trzask odrywanych krokwi i belek, widział blask ognia obejmującego już całą tę szopkę, ale wychylić się nie mógł, lękał się, nie potrafił. Nareszcie runęło wszystko i zawaliło się razem. Jak mogli, tak ratowali ludzie, i szczęśliwie uratowano bydełko, co w téj oborze stało;—ale o Maciusiu nikt nie wiedział. Mimo niebezpiecznego położenia, ogień ani nawet dym do niego nie dochodził,—runięty budynek zawisł w przeciwnéj stronie, pojedyńcze zaś cząstki mając oparcie wyżéj, jemu szwanku nie zrobiły żadnego. Jednakże był już jak bez duszy, zemdlał, i leżał w swem ukryciu racéj trup niż żyjące stworzenie!.

O! któż zdoła sobie wystawić rospacz i boleść Bruzdów szukających swych dzieci, a żadnéj o nich wieści posłyszeć nie mogących! Cała noc na poszukiwaniach im przeszła, cały dzień następny chodzili od głowni do głowni, w każdéj wyobraźnią swoją upatrując szkielety swych nieszczęśliwych dzieci. Wszystko próżno!—noc druga przeszła, i dzieci swoich odszukać nie mogli. Nareszcie ktoś z przechodniów natrafił wypadkowo na Basię leżącą w lesie i zabrawszy na ramiona, przyniósł do wsi, gdzie zaraz ją poznano i wzięto się do silnego ratunku. Zaledwie dziewczę znaki życia dawać zaczęło; odkryto, rozbierając szczątki zgorzałéj obórki, leżącego Maciusia jeszcze także przy życiu. Ale oboje biedaki w straszną popadli niemoc, gorączka trawiła ich coraz więcéj; kilkanaście tygodni oczekiwano zgonu każdego. W gorączce dzieciny niej stworzone zaczęły prawić rzeczy, najwięcé-

zaś o ogniu i służbie, o uciekaniu Basi od Cebuliny, o podpaleniu,—z czego też i dowiedziano się przyczyny pożaru. Dopóki choroba trapiła sierotki, nie badano ich wcale i zostawiano w spokoju, ale gdy przyszły do zdrowia pociągnięto je do tłómaczenia i śledztwa—i łatwo wszystko wykryto. Dzieci nie umiały taić, bo nie przypuszczały nawet w chwili zbrodni jej następstw i okropności. Jako małoletnie osadzono je w domu roboczo-poprawczym na lat trzy, gdzie szkołę prawdziwą przeszedłszy, na wolność wypuszczone zostały. Dziś dwoje tych dzieci dorastają—nauczone i oświecone niestety! nie od ojca, od matki, nie w szkole, ale w więzieniu; pojmują czyn, którego się dopuściły, postępują dobrze, uczciwie i są żywym przykładem dla wszystkich rodziców, jak czujne oko im rozpościerać należy nad dziatwą swoją,—są żywym przykładem dla gospodyń i gospodarzy, by rozsądkiem i sercem rządzili się w stosunkach z małoletnią czeladzią swoją. I od nich też samych świadomy tych smutnych ich życia przygód, dla rozrywki i nauki moich współbraci takowe w powiastkę spisane, do Zorzy przesyłam.

Mikołaj Gruda.

TURKAWKI.

(Zdarzenie).

Upłynęło już dość czasu,
Jak pod wsią zwaną Jabłonną (*)
Powracało dziecko z lasu,
Kiedy Książę jechał konno.
Ażeby uczcić Książęcia,
Zdjął kaszkiecik chłopiec mały,
A wtém z nakrycia dziecięcia
Dwie turkawki wyleciały!
Książe rzekł:—„Przykro mi wielce,
Żem cię pózbawił zabawki,
Lecz rozkażę, żeby strzelce
Inne dali ci turkawki.“
A na to chłopiec odpowie:
—„O, nie, Książe, ja te ptaszki
Nie dla tego w lesie łowię,
Żebym je miał do igraszki;
Ale mi jest matka chora,
(Czemuż Boże sił jéj nie dasz)
Chciałem je więc na doktora
Do Warszawy nieść na sprzedaż.
Bo ja jeszcze nie mam siły,
Żebym chodzić mógł do żniwa,
Za co by pieniążki były!...“
Więc Książe kieski dobywa
I w nagrodę małéj straty,
Jaką poniósł dla Książęcia,
Dał Tomkowi dwa dukaty—
Skarb niezmierny dla dziecięcia!
I posłał choréj doktora;
A gdy ten jéj wrócił zdrowie,
Kazał chłopca wziąć do dwora,
I pensyjkę płacił wdowie.

Chłopiec wyrosł z Księcia woli,
Dostał dom i kawał roli,
Na któréj swe pędził życie
Poczciwie i pracowicie.
Wdzięczny chłopek pamięć księcia
Chował aż do ócz zamknięcia.
Bo on, żona. i ich synek,
Gdy się kładli na spoczynek
Przyklęknąwszy na kolana
Wołali do Niebios Pana:
„Jeżeli nam Boże! winy
Odpuszczasz przez wzgląd na czyny,
To niech cię ten wzgląd poruszy
I dla jego pięknéj duszy.“

F. Mikorski.

(*) Jabłonna jest wieś o 2 mile od Warszawy z pięknym pałacem dwnym.

RADY GOSPODARSKIE.

Skutecznym środkiem ochronnnym przeciwko rdzewieniu żelaza i stali używanym obecnie, jest biały wosk rospuszczony w terpentynowym olejku. Massę tę niby maść nakłada sią cienką warstwą na żelazo lub stal, a potem naciera się nią mocno lnianą szmatką, jakby przy polityrowaniu drzewa.

— Pewien gatunek *szarej bibułki* znajdujący się teraz w handlu, nie jest zupełnie wolny od arszeniku. Bibuła ta jest wyrabiana z okrawków papierowych i ze starych obić, które często były barwione farbami *np.* zielonemi lub błękitnemi zawierającemi miedź lub ołów. Wystrzegać się przeto należy używania tego bardzo taniego papieru jako pokład przy pieczeniu placków, lub też do cedzenia przez niego kawy, jak to niektórzy lubią robić.

RÓŻNOŚCI.

Chrabąszcze. W niektórych krajach niemieckich a szczególniéj we Francji, pojawiły się miliony milionów chrabąszczy, które jak one biblijne mszyce egipskie stałyby się klęską dla lasów i ogrodów, gdyby nie dzielne wzięcie się ludziku ich wyławianiu. Przytem rządy wyznaczały zapłatę za wytępienie tych natrętników; to też na wyścigi strząsano je w dzień z drzewin, gdzie spoczywały uśpione, a następnie po okazaniu ich miejscowym władzom, zakopywano głęboko w ziemi; gdyż lekko pokryte ziemią, w massie swéj łatwoby się wydobyć mogły na zewnątrz. Zatopione zaś w wodzie, choćby i w morzu, wypływały snadnie i znowu dostawały się na ląd.



Kumciowie całego świata.

Kletuś.—Cóż się to stało moja kumo, żeście dziś nie razem z Gabrysiem?—*Kumcia.* A jakżeż się mógł ze mną pokazać, kiedy starowina zaniemógł na nogi. *Kletuś.* I od czegóż to kumeczko?—*Kumcia.* Od czegoby? przecież to Warszawianin, a Warszawianie często nogi tracą, a najwięcéj zaś ci, co to za młodu ciągle jeżdżą, a na starość muszą pięty o bruk obijać. A choć to nie zciąga się do *mojego,* aleći on ma już Warszawską naturę: na świętego Pankracego, Bonifacego i Serwacego koniecznie być musi na majówce w Czerniakowie; na Zielone świątki, Bielany Czyste i Kaskada bez niego się nie obejdą, choćby, jak to mówią kije z nieba leciały; co Niedziela płynie jak kaczka na Saską-Kępę, a wieczorami wszystkie ogródki piwa barskiego obchodzi, gdzie to wydziwiają co wieczór różne komedje.

— A u was na wsi, jak tam kmoterku? *Kletuś* Ha! u nas dobrze, tylko niebardzo. Oto, o granicę od nas wytrawny jeden złodziéj zapytany przez sędziego, dla czego okradł Kościół z świętości, odpowiedział: że dopuścił się téj *sprawki* dla tego tylko, żeby miał czém zapłacić dług *honorowy* z gry w karty, a przytem za wódkę wziętą na bórg, i za kieliszki, które potłukł w karczmie. Inny znowu, co czuł wielki pociąg do cudzych szynek i kiełbas, wlazł przez dachy w komin, i biedaczkowi obsunęła się noga że wleciał kominem do izby. Ale nie stracił hultaj wcale fantazji, tylko grzecznie zdjął czapkę i zapytał, czy tu mieszka pan Wójt?—Inny znowu *ptaszek* obwiniony o zrabowanie żydowi konia na publicznym gościńcu, tłomaczył się, że jak szedł traktem, *znalazł żyda i konia,* ale że żyd nie był mu potrzebny, a koń bardzo się przydał, więc żyda na drodze zostawił, a konia zaprowadził do domu.—*Kumcia.* Ha! ha! ha!—no i co więcéj, kmoterku? *Kletuś.* Jeszcze o jednym mogę powiedzieć, jak w nocy w izbie propinatora wybił okno, wszedł niem, rzeczy śpiącego zebrał na kupkę i jeszcze chciał z niego zciągnąć pierzynę, ale jakoś zamiast za pierzynę schwycił za gardło propinatora,—i tém narobił krzyku.—Zaskarżony tłómaczył się w sądach, że nie chciał w późnéj porze budzić ludzi i w ten sposób starał się w karczmie przenocować bez hałasu. *Kumcia.* A to zabawny zajazd na nocleg do karczmy—oknem I gadać tu, że tylko w Warszawie ludzie są dowcipni, a na wsi ich nie ma!

MYŚLI.

Więcéj jeden zły człowiek i jedném słowém zaszkodzi, niżeli dziesięciu dobrych i stom dobremi słowami. A cóż może być przyczyną téj przewagi w nas złego nad dobrem, jeżeli nie ta okoliczność, że jesteśmy, znać, daléj od końca drogi prowadzącéj nas do doskonałości ludzkiéj najwyższéj, niżeli od jéj początku?

Zagadka.

Stoi chałupka, drzwi i okien nie ma, a w téj chałupce pełno ludzi mieszka?

Przeszła zagadka: *Konopie.*

Treść: Opis ziemi Świętéj Jeruzalem. Więzienie Szkołą (Powiastka. — Turkawki (wiersz). — Rady Gospodarskie. — Kumciowie.—Zagadka.

Redaktor i Wydawca Józef Grajnert, pod Nr. 24 (nowym) ulica Nowy Swiat.— W druk. I. Krokoszyńskiego.—

Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.